Polskie siedziby rodzinne. Moroczyn.

Ruiny zespołu dworskiego rodziny Chrzanowskich, herbu Poraj, z XIX w. w Moroczynie, pow. Hrubieszów. Dwór był parterowy, murowany. W latach 1900-1905 przebudowano go, nadając mu nową szatę zewnętrzną: przykryto czterospadowym dachem i

otoczono rzadko stosowaną, niezwykle ozdobną attyką balustradową. Na froncie dominował portyk o czterech kolumnach (zachowały się tylko trzy). W czasie II wojny światowej ograbiony z mebli i dzieł sztuki. W pobliżu był park podworski ze stawem, fot. Ar2rek, wikimedia commons

Niedawno, szukając informacji do artykułu, sięgnęłam do swojego „kuferka" z różnymi papierami z Polski i znalazłam list do mnie, z czasów, kiedy byłam jeszcze studentką, od prof. Tadeusza Chrzanowskiego, wybitnego historyka sztuki, przez wiele lat związanego z KUL-em, wraz z dołączonym do niego tekstem o rodzinnym Moroczynie. Przeczytałam go z uwagą, nie pamiętałam go. Dwór polski stanowi ważny element polskiej kultury i tradycji, który wpisuje się w polską obyczajowość. Niestety przez wiele lat obiekty dworskie, pozbawione gospodarza popadały w ruinę, a niektóre uległy całkowitemu zniszczeniu. I to nie działo się tylko podczas działań wojennych, ale i wiele lat po wojnie, za rządów komunistycznych, a także potem, niemalże na naszych oczach. Uratujmy więc choć niematerialną część naszej historii – pamięć. *(red. Joanna Sokołowska-Gwizdka).*

Tadeusz Chrzanowski *(1926-2006)*

Nie urodziłem się w tym dworze, o którym chcę mówić, bowiem urodziłem się w ́Krakowie, co mi co nieco w życiu pomogło, ale i

zaszkodziło niemało. W rzeczonym dworze mieszkałem niezbyt długo – w sumie nie całe 17 lat. Mój ojciec też się tam nie urodził, ani przez całe życie przemieszkiwał, bowiem doszedłszy do pełnoletności i wstąpiwszy w związki małżeńskie osiadł w innym zupełnie dworze, a nawet poniekąd pałacu, który nabył mój dziad. Tylko że potem przyszła pierwsza wojna światowa i taktyka spalonej ziemi, zastosowana przez cofającą się armię carską, więc ów pałac w Dorohusku nad¸ Bugiem został spalony, a gdy po wojennej tułaczce rodzina wreszcie powróciła w strony rodzinne, to nie było możliwości i środków na odbudowę. Ruiny pałacu i folwark ojciec sprzedał, a osiadł w Moroczynie, bowiem ten z wojennych tarapatów jakimś cudem ocalał.

Nie będę więc mówił o gnieździe rodzinnym, tylko o domu, folwarku, o budynkach, drzewach, założeniach ogrodowych, o stawach i łąkach, o drogach i tak w ogóle o wszystkim, co pamiętam i co mi się we wspomnieniach układa w pewną całość tak, już dziś niewiarygodną, jakby istniała na kartach XIX-wiecznych pamiętników, a nie w wieku XX, niemal w samym środku ówczesnej II Rzeczypospolitej. Więc chociaż nie o gnieździe, ale o czymś prastarym i prehistorycznym nieomal, a jednocześnie tak realnym, to we śnie i na jawie potrafię rozpoznać każdy zakos ścieżki, dziuplę i furtkę. Czyli, że będę mówił z nutą sentymentu i sądzę, że tak mi mówić wolno, jakkolwiek tamten świat uważam za całkowicie miniony i nie chciałbym ani nie potrafiłbym już doń na jawie powrócić. Po

wojnie raz jeden próbowałem – nie tyle powrotu, co konfrontacji. I tego mi starczy na resztę dni moich. Są sprawy nieodwracalne i nie trzeba z tego powodu ani patetyzować, ani rozpaczać. Ale wolno sobie pozwolić na odrobinę sentymentu, który stoi poza osądami i poza rzeczywistością. A więc na sentyment „sine ira et studio".

To „studio" nie jest zresztą w tym konkretnym przypadku możliwe. Kiedy 20 czy 21 września 1939 r. w wyniku nagłej decyzji rodziców opuściliśmy nocą dom**,** w pośpiechu i rozgardiaszu zaginęły papiery rodzinne – dokumenty i zapisy. Zostałem bez historii rodziny, bowiem ojca nie zdołałem już nigdy skłonić do jakichkolwiek prób rekonstrukcji. Byłaby to zresztą rekonstrukcja wątpliwa, gdyż pamięciowa. A więc jedyne co wiem, to fakt, że moja rodzina „po mieczu" była w tych okolicach zasiedziała, ale właśnie nie w tym domu, gdzie spędziłem dzieciństwo i pierwszą młodość, ale bardziej na południe – w rejonie Kryłowa. Początkowo szlachta średnio-zamożna, zaczęła robić w ubiegłym stuleciu karierę ekonomiczną. Apogeum osiągnął dziadek Edward, którego pamiętam już tylko z wielkiego, zniszczonego w 1939 r. portretu i z kilku zdjęć. Spogląda z nich szczupły pan o ostrych rysach i spokojnym, ale niewesołym spojrzeniu. Był ponoć w miarę surowy, ale dzieci kochały i jego, i matkę – Marię z Kicińskich, z domieszką uwielbienia. Był człowiekiem solidnym, dobrym gospodarzem i miał umiejętność powiększania dóbr. Skupił w swych rękach przed I

wojną światową bardzo rozległy klucz, do czego przyczyniły się też bezpotomne śmierci jego braci i dalszych krewnych. I właśnie dom mego dzieciństwa należał do mego stryjecznego dziada, który – nie pozostawiwszy spadkobierców zapisał go bratu. Oczywiście po I wojnie światowej nastąpiły radykalne zmiany w stanie posiadania: trzeba było sprzedać część wyniszczonych folwarków, a poza tym schedę rozdzielić między jedynego syna – mego ojca – i jego dwie siostry. Ale i tak nie było to mało, skoro w rękach ojca pozostawały – poza domem i folwarkiem Moroczyn, jeszcze i dalsze folwarki: Teptiuków, Ciołki, Kobło, Kopywłów, Siewrszczów, nie licząc drobniejszych.

O samym Moroczynie też niemal niczego nie wiem z dawniejszych dziejów, poza tym, że był to niegdyś folwark klucza starostwa hrubieszowskiego, czy jak je niegdyś nazywano – rubieszowskiego. Dwór, bo był to duży dwór, chociaż miejscowi mówili „pałac”, powstał w swym obecnie wciąż jeszcze wegetującym kształcie na przełomie XIX i XX wieku. Działał wówczas w tych okolicach architekt Stanisław Czachórski, brat znanego malarza – portrecisty strojnych dam i on to miał dokonać przebudowy. Tak bowiem mówiono w domu: przebudowy i za tym twierdzeniem mogłyby przemawiać bardzo grube mury korpusu głównego, być może pozostałość po dawniejszej budowli. Bowiem taka właśnie starsza budowla istnieć musiała, skoro w otoczeniu domu były budynki zdecydowanie od niego starsze, wyznaczające formę założenia,

które musiało istnieć od kilkudziesięciu co najmniej lat, może nawet od stulecia XVIII. W każdym razie to wszystko co mogę powiedzieć o historii. Bardzo tego niewiele, ale proszę mi wierzyć, że historia jest rośliną bardzo kruchą i zanika nieodwracalnie przy każdej okazji – zarówno katastrof, jak i niedbałości.

Ruiny dworu rodziny Chrzanowskich w Moroczynie, fot. Przemyslaw nowosad, wikimedia commons

Trzeba jednak bliżej umiejscowić ów dom i jego otoczenie. Położony był, jak to z poprzednich uwag wynikało, w okolicy Hrubieszowa, pół kilometra oddalony od szosy i zarazem od wiecznego traktu, który z tego miasta prowadził ku przeprawie na Bugu, pod Uściługiem, a stamtąd wiódł w głąb Wołynia – na Włodzimierz – Kowel – Krzemieniec. Okolice Hrubieszowa słynne

były z niezwykle urodzajnej gleby – tutejsze czarnoziemy rodziły, jak to się powiadało – same, ale w czas przedwiosennych i jesiennych słot przeobrażały siew nieprzebytą, gęstą i lepką maź, a w susze wzniecały nieopisane tumany kurzu. Krajobraz był rozległy i nieco nostalgiczny – nie było większych wzniesień tylko bardzo powolne, cierpliwe falowanie. Lasów prawie nie było, parodie lasków, bo ziemia była za dobra by tu drzewa sadzić; lasy zaczynały się dopiero na pograniczu z chełmskim powiatem. O dwa kilometry od domu płynął Bug. Nad tym Bugiem, w nożycach dopływu jego – Huczwy – wznosiła się „góra zamkowa" – teren powojennych rozległych badań, które starały się zlokalizowaćnieco przedtem mityczne „grody Czerwieńskie". Ten pod Gródkiem nazywał się „Wołyń" wspomina o nim Długosz. Natomiast na nadbużnych łąkach w pobliżu Gródka wznosił się stożkowaty kopiec – kurhan, który nosił malowniczą nazwę „księżycowej mogiły", przy czym nie chodziło o księżyc, ale o księcia i nazwa to miała cechy prawdopodobieństwa. Takich kurhanów było zresztą w okolicy kilka.

Droga, która od szosy odbijała w stronę Moroczyna, biegła potem dalej na Kobło, Kopyłów – ku północy. Stał przy niej samotny budynek i wyznaczał początek założenia dworskiego. Ten budynek był bowiem kuźnią i od niego rozpoczynała się aleja dojazdowa, prowadząca do domu i folwarku. Wieś Moroczyn, bardzo mała, położona była w pewnej jakby izolacji od dworu, oddzielona od folwarku strumykiem i pasem łąk. Pomiędzy dworem a wsią

stosunki były niezbyt ożywione, przychodziły stamtąd dziewczyny „na akord” popracować w ogrodzie w okresie żniwnych spiętrzeń, czasem podnajmowało się gospodarzy ze sprzężajem, ale to i wszystko. Stosunki były pół-oficjalne, nie zanadto przyjazne (o ojcu mówiono „prokliatyj chrien”), ale i nie wrogie. Bójki pomiędzy synami gospodarzy a synami fornali należały do pewnego rytuału i nie świadczyły o jakiejś wzbierającej agresji. Na wsi mieszkali zresztą nieliczni prawosławni, większość stanowili katolicy, a wśród mieszkańców folwarku prawosławni stanowili zdecydowaną mniejszość. Bo jednak – im bliższa była katastrofa tamtego świata – tym bardziej wzbierały nacjonalistyczne nienawiści, a świadomość narodowa budowała się na wyznaniu.

Tak więc założenie dworsko-folwarczne było całością oddzielną, odrębną i – stwierdzam tu obiektywnie – zaplanowaną logicznie, a efektownie, w oparciu o tradycyjnie osiowy układ, ale nie trzymając się niewolniczo praw symetrii i budując niejako odrębne elementy nanizane na ową oś.

Jak już wspomniałem od frontu była nią aleja brzostowa (w tamtej epoce brzost był jeszcze w naszym kraju drzewem popularnym – dziś uległ wytruciu i wyniszczeniu). Tak więc od kuźni już widziało się w perspektywie bramę, a przez nią kolumnowy portyk domu. Po lewej było założenie folwarczne, po prawej – osobno – stał spichlerz. Ale na razie główna uwaga

skupiała się na temacie centralnym: bramie i dworze. Jedno i drugie posiadało cechy barokowe, jak mi się zdaje dość zmyślnie kombinujące eklektyczne formy, które się wówczas w tej części kraju rozpowszechniły, nie bez wpływu architektury rządowej, ale w tym wypadku wytworzyły oryginalną i dość efektowną całość. Bowiem ani brama, ani dom nie były po prostu neobarokowe, ani eklektyczno-secesyjne, ani nawet nie zapowiadały tendencji, które miały dopiero stworzyć w przyszłości „styl dworkowy". Brama była trójdzielna i nie była bramą do „zamykania", ale właśnie do „otwierania" – nie stanowiła bowiem żadnej przeszkody ze swymi sztachetowo i ażurowo ukształtowanymi wrotami, których zresztą, nigdy nie zamykano, podobnie jak dwóch furt znajdujących się po bokach. Brama spełniała szczególny efekt w dni pogodne wiosenne lub letnie, kiedy to słoneczny kontrast sprawia, że zieleń ciemnieje głęboko, a biel tynku staje się tym migotliwsza. Wówczas brama akcentowała się wyraziście i stwarzała wraz z krótką alejką prowadzącą, od niej ku podjazdowi, scenograficzną obudowę perspektywy na kolumny akcentujące front domu.

Ten dom był właściwie parterowy, chociaż miał pomieszczenia na piętrze, częściowo typu mansardowego, a częściowo w przyczółkowych szczytach bocznych. Cały środek wypełniał obszerny strych. Tak więc wszystkie ważne pomieszczenia znajdowały się na parterze, a na piętrze były tylko mniej ważne, ale za to bardziej intymne pokoje: gościnne, a także dla

młodzieży – właśnie moje dzieciństwo upłynęło w jednym z nich, tym od południa.

Ruiny dworu rodziny Chrzanowskich w Moroczynie, fot. Przemyslaw nowosad, wikimedia commons

Tak więc korpus stanowił obszerny, prostokąt, przedłużony jeszcze dodatkowo dwoma aneksami dobudowanymi (chyba wtórnie, ale jeszcze nie za mojej pamięci) do skrajnych ścian szczytowych. W tej północnej dobudówce były kuchnia i pachnąca niezwykłymi smakowitościami spiżarnia, w południowej mieściła się tak zwana kancelaria, gdzie ojciec przyjmował interesantów, a także dwie łazienki, bowiem dom posiadał wodę bieżącą. Bryłę akcentował osiowo umieszczony portyk, a raczej taras wsparty na czterech masywnych

kolumnach, obwiedziony tralkową drewnianą balustradą, a dostępny ze strychu. Nie mówiło się nigdy portyk czy kolumnada, mówiło się „podjazd”, bowiem przewidziany był do podjeżdżania wehikułów pod ową tarasową osłonę, ale w rzeczywistości tego nie stosowano: stały tam ławeczki i bujające fotele – leżaki, natomiast po bokach były dwa krótkie lekko rozchylające się murki zakończone drewnianymi, słupami, na których rosnące dzikie wino wytworzyło z biegiem lat gęsty, wróblami nadziewany gąszcz.

Proste, nawiązujące do uszatych obramienia okien**,** kostkowe gzymsy, a przede wszystkim wystawki piętra, potraktowane najozdobniej, ze spływami, słupkami i segmentowymi przyczółkami, określały formę tej architektury, która była w sposób oczywisty prowincjonalna i równie oczywiście oryginalna w owej swojskości. Jestem przekonany, że ani architekt nie reprezentował wysublimowanej tendencji nowatorskiej, ani mecenas tego nie chciał, ale ostatecznie o formie zadecydowała ręka i „wiedza” lokalnego muratora, który tak stawiał, jak potrafił i tak zdobił, jak życzył sobie tego on sam i jego mocodawca.

Łączyła się tu w sposób naturalny tradycja z pewnymi elementami nowatorskimi: ów taras wspierał się na stropach Kleina, ale dach był nadal, jak przez cały miniony wiek, dachem naczółkowym. I zarazem to śmieszna tendencja zdobnicza: na

owym dachu, pomiędzy wystawkami wstawione były odcinki balustrady, analogicznej jak na tarasie. Pamiętam jak stolarz, który miał swą pracownię na folwarku, toczył te tralki na tokarni, podobnie jak toczył na niej dzwona do kół wozów.

Od strony ogrodowej był także taras, ale z uwagi na spadek terenu, był na wysokości parteru i schodził w dół monumentalnymi schodami, w które – pośrodku – wstępował półkolistym „belwederem". Widok stamtąd był bowiem ładny: w tym płaskim terenie tu jedynie występował nieco wyrazistszy stok, opadający ku stawowi, który był zasilany przez potok czy też bezimienną rzeczkę przypływającą z łąk od strony Dziekanowa. Za tym stawem wznosiła się ściana parku, który rozpadał się na dwie strefy: pierwsza – leżąca bezpośrednio za stawem – była regularnym założeniem przede wszystkim grabowym z centralną aleją główną i równoległym do niej, przebiegającym wzdłuż północnego skraju strzyżonym szpalerem. Druga część, znacznie szersza, była pozostałością niegdysiejszego lasu i obejmowała kilka bardzo sędziwych, imponujących okazów dębów. W obramieniu – od strony stawu, było nieco brzóz i wierzb, od południa świerkowa ściana. W prostokącie między bliższą i dalszą częścią parku mieścił się ogród warzywny od południa, a od północy stał samotny, mieszkalny budynek, zwany – nie wiedzieć czemu – „Majdanem". Czyżby wyznaczał inne, dawniejsze położenie folwarku? Był murowany, masywny, podpiwniczony i nakryty, jak niemal

wszystkie tu budynki, gontowym dachem naczółkowym. Wyglądał bardzo sędziwie, a jego osamotnienie było dość niezwykle. Ale pamiętam go pamięcią chłopca: gdy tam byłem w latach sześćdziesiątych po „Majdanie” pozostało tylko kłębowisko pokrzyw.

Przejście z domu do parku dwiema obrzeżonymi drzewami alejkami, umożliwiały – po obu krańcach – dwa mostki, zwane popularnie „garbatymi”, Jakieś przyćmione echa japońskich tendencji przejmowanych przez Europę w sztuce ogrodów, łączyły się harmonijnie z fantazją cieśli, którzy balustrady wykonywali z nie okorowanych gałęzi brzozowych.

To była reprezentacyjno-widokowa część założenia, ku południowi przedłużała sięczęściowo odrzewionym kanałem łączącym staw przed domem z drugim stawem, który był rezerwuarem ryb, energii dla stojącego tu młyna, z turbiną wytwarzającą energię elektryczną, a także – dzięki gliniastej konsystencji dna – ulubionym miejscem kąpieli w dni upalne. Obok tego stawu była wyjątkowo wysoka i gwałtownie urywająca się, również gliniasta szkarpa, w której istniała wyrwa, a w niej jakieś metalowe resztki i gruz ceglany. Nazywano to miejsce „starą cegielnią” i sądzę, że funkcjonowała ona w czasie „fabryki” dworu, bowiem przy wszystkich unowocześnieniach, przy tej bieżącej wodzie i elektryczności, wszystko tu miało charakter zamkniętej samowystarczającej gospodarki. Gdy

trzeba było zmieniać pokrycia dachowe, to na jakiś czas instalował się warsztat strugania gontów i wytwarzano je wówczas masowo i „na zapas”. Czasowo pracowały też warsztaty rymarski i powroźniczy, stale natomiast stolarski, kuźnia, młyn. Tkano też płótno 1niane na worki i letni przyodziewek, a długie pasma rozkładano w dni słoneczne na łące i na trawniku nad stawem, gdzie się w słońcu bieliły.

Powróćmy jednak do dworu. Towarzyszyły mu bezpośrednio zabudowania o częściowo gospodarczym przeznaczeniu. Od południa stała oficyna, która była niewątpliwie starsza od dworu w jego ostatecznej „czachórskiej” formie. Połączenie skromnych cech klasycystycznych i neogotyckich było charakterystyczne na tych terenach dla polowy XIX wieku i wówczas chyba zbudowano ten niemal kwadratowy, piętrowy budynek. Od frontu był tu wysunięty okap, osłaniający schody i podest prowadzący na to piętro, na którym były letnie pokoje gościnne. Na parterze były pomieszczenia warsztatowe – rymarski np., a od tyłu do oficyny przylegał parterowy, wydłużony budynek tzw. „piekarni”, mieszczący rzeczywiście wielki gliniany piec piekarniczy, gdzie białe i pulchne bochny złożone na liściach kapuścianych nabierały złocistej, lekko spękanej faktury. Tu też – na Święta, zwłaszcza Wielkanocne, wykonywano rozmaite smakołyki, a najsilniej w pamięci oczu i podniebienia utkwił mi proces wytwarzania „sękacza”, który rodził się na rożnie z kucharzowego polewania naprzemian żółtawym ciastem

mlecznym, to znów brązowym – czekoladowym.

Pomiędzy oficyną a dworem wytworzył się niewielki placyk, pośrodku którego był zamontowany kierat. Stróż – „dziadek” Dąbrowski przy pomocy starego, ślepego wałacha codziennie napełniał przy pomocy tego kieratu i pompy zbiornik na wodę na strychu. Gdy ten zbiornik był już pełen, woda zaczynała wyciekać przez jedną z rynien i tworzyła malownicze kałuże, a że „dziadek” był głuchy, więc trzeba było bardzo głośno wołać „dziaaaadku”, by przestał zataczać wraz z wałachem cierpliwe kręgi.

Za oficyną były jeszcze dalsze budynki gospodarcze: sporty, murowany, zwany drewutnią, królestwo tegoż „dziadka” Dąbrowskiego, ale w gruncie rzeczy było to magazynowe zaplecze szklarni inspektów, którą wokół otaczał mur – nie tyle przed złodziejami, co przed zimnymi humorami aury. To było niżej, przy wejściu do kanału. Wyżej był drewniany kwadratowy budynek bez okien, za to z wysokim namiotowym dachem. Była to tzw. „lodownia”, osłaniająca dość głęboki dół, który się zimą mościło słomą, potem układało cięte na stawie młyńskim kostki lodu, które nakryte grubą kołdrą słomianą, trwały aż do późnej jesieni, pozwalając na chłodzenie różnych artykułów żywnościowych, a w upalne niedziele na wyrabianie lodów. Pomiędzy drewutnią a lodownią była jeszcze spora w szkarpie wydrążona i obmurowana piwnica służąca do przechowywania

ziemniaków. A dalej, za płotem, rozciągał się sad i nigdy mi już gruszki, a zwłaszcza jabłka nie smakowały tak bardzo jak te, które sobie tam wedle gustu i pory dobierałem.

Jak wspomniałem od bramy do dworu wiodła kręta alejka przeobrażająca się w kolisty trawnik z kępami róż. Tam, gdzie alejka otwierała się w ów kolisty podjazd, stała maciupeńka i skromna domkowa kapliczka, przed którą w majowe wieczory mama intonowała, a kobiety z folwarku wyciągały piskliwymi glosami pieśni i „litanije”.

Ruiny dworu rodziny Chrzanowskich w Moroczynie, fot. Przemyslaw nowosad, wikimedia commons

Na lewo, poza kurtyną drzew, stał parterowy ale na wysokich piwnicach murowany spichlerz**,** mieszczący drugą kondygnację strychową, w obszernym, oczywiście naczółkowym i gontowym dachu. Wydawał się bardzo starożytny i bardzo solidny, ale i on się zawalił. Pod domem nie było właściwie piwnic, tylko „nowoczesne" sutereny o stropach Kleina. Pod spichrzem piwnice były rzeczywiście przepastne, sklepione kolebkowo, pachnące jabłkami i przechowywanymi tu na zimę warzywami.

Na prawo od podjazdu rozciągał się folwark**.** Najpierw, zaraz za bramą, wzdłuż drogi stały dwa drewniane czworaki, gdzie mieszkały rodziny fornali. Przed wojną ojciec rozpoczął budowę nowego czworaku, ceglanego, więc jeden z tamtych zburzono. Ciekawostka: temu nowemu nadano formę całkowicie tradycyjną – miał podziały ramowe i ów nieodzowny dach naczółkowy, a że gontem kryty to oczywiste – był bowiem wówczas pokryciem najtańszym, produkowanym we własnym zakresie. Właściwy dziedziniec rozciągał się obszernie w bok od bramy. U wejścia na słupie wisiał stary lemiesz, na którym gumienny odstukiwał godziny pracy, a w zakolu, bliżej domu, znajdowała się studnia, drewniana – łącznie z ocembrowaniem i nakryta dachem namiotowym na słupach, który osłaniał kołowrót obracany wielkim kołem. Obok było koryto drążone w połowie pnia dość sporego drzewa, bo tu pojono bydło i konie.

Dziedziniec zamykał parawanowo mur uformowany rytmicznie przysadzistymi półkolumnami i mieszczącymi pośrodku bramę utworzoną z dwu cylindrycznych, ogzymsowanych słupów zwieńczonych piramidkami. Mur ten spinał dwa budynki: stajni od wschodu i obory od zachodu – długich murowanych budynków z podziałami ramowymi i gontowymi dachami, z koślawymi wystawkami. Wewnętrzne gumno, bezcenne składowisko gnojówki i nawozu, zamykał wreszcie od południa budynek stodoły.

I – poza pomniejszymi budyneczkami – kurników, chlewów, wiat itd. nie było już nic więcej, tylko ta rozległa, nostalgiczna panorama pól. Uprawiało się je tradycyjnie, przede wszystkim siłą koni, stąd tak obszerne stajnie, a ponadto majątek specjalizował się w hodowli koni dla wojska – tak zwanych remontów. Ojciec próbował mechanizować rolnictwo, ale możliwości były ograniczone ze względu na właściwości owego hrubieszowskiego czarnoziemu: traktor mógł tu pracować tylko w naprawdę suche dni. W pola, do sąsiednich folwarków, jeździło się też przeważnie pojazdami konnymi: bryczką, dwukółką, a gdy było sucho także samochodem – dość już starożytną, ale niezawodną „Chevroletą”. Na wyjazdy do Hrubieszowa, jeśli były „bardziej paradne”, wytaczano z wozowni wolant lub – gdy zagrażał deszcz – powóz z „budą”. W tej wozowni stała jeszcze kareta, ale nie pamiętam by się nią kiedykolwiek posługiwano. Natomiast „park samochodowy” dopełniał potężnych rozmiarów

samochód marki Deimler, który służył do dalszych wypraw. Ale te „fumy” nieskutkowały natychmiastowo – kiedy na drogach robiło się błotniście, trzeba było poczciwego Deimlera dociągać te pół kilometra do szosy końmi, w związku z czym Europa zaczynała się dopiero w Teptiukowie.

I to byłoby wszystko, co chciałem opowiedzieć i pokazać, celem moim było bowiem podjęcie próby pokazania nie tyle form architektonicznych, ale „sposobu istnienia” folwarku w okolicy, która jeszcze wcale nie należała do Kresów, ale z naszego punktu widzenia zalega już na kresach dającej się pamięciowo dosięgnąć historii. Chciałem pokazać rozmaite funkcje i system owej gospodarki zamkniętej, która z folwarku tworzyła jednostkę społecznie i ekonomicznie w pewnym sensie zamkniętą. W dawnej polszczyźnie określenie „dwór” stosowano częściej do tej całości niż do mieszkalnego budynku, który zwano „domem pańskim”. I ta terminologia ujawnia specyficzność tej sielskiej ontologii, która dawną Rzeczypospolitą usiała niezliczonymi gwiazdozbiorami wielkich i małych sąsiedztw. Moroczyn z mej pamięci to już ostatnie echo tej struktury stanowo-gospodarczej. Aże – poza dworem już nic tam z niegdysiejszego zespołu zabudowy nie zostało, więc wydało mi się pożytecznym zrekonstruowanie tej minionej całości. Dodatkowo mogłem przy tym zadość uczynić własnym wspomnieniom i to już moja osobista korzyść.

*

Tadeusz Chrzanowski – historyk sztuki, niestrudzony działacz na polu opieki nad zabytkami kultury, eseista, poeta, fotografik.

Zobacz też:

> Polskie dwory i pałace

> Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

> Wielkanoc w mirogonowskim dworze

> Dwór, w którym zaklęta jest historia

Karp królewski z Bełdowa